Rocznik II. Kraków 15-go września 1908. Nr. 6.

NASZA SKARBNICA

wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia 15-go.

Prenumerata „NASZEJ SKARBNICY“ wynosi:
na pół roku, czyli od lipca do końca bież. roku: 1 kor. 50 hal. — Do NIEMIEC półrocznie: 1 kor. 75 hal. — Do AMERYKI (na rok): 1 dolar.

ADRES do przesyłania prenumeraty:
Redakcya „NASZEJ SKARBNICY“ w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Od wydawnictwa.

Zaznaczamy, że *Naszą Skarbnicę* dajemy w zniżonej prenumeracie czyli za 1 koronę 25 halerzy na pół roku tylko tym, którzy prenumerują także drugie nasze pismo tj. *Nowy Dzwonek*. Ci zaś, którzy nie prenumerują *Nowego Dzwonka*, płacą za *Naszą Skarbnicę* dawną cenę, a więc na pół roku: 1 koronę 50 halerzy.

PRZYPOWIEŚĆ NA CZASIE.

Stał w dawnych czasach dąb stary. Z odpadających z niego uschłych drobnych gałązek i liści, przez czas utworzyła się warstwa próchnicy, z której z pomocą przyjaznych okoliczności powietrznych wylągł się grzyb.

O wschodzie słońca ujrzał światło dzienne, a do zachodu urósł spory. Obejrzał się, że jest blizko dębu, i zapytał: «Sąsiedzie dębie, dawno tu stoisz?» — «Setki lat», dąb odpowiada. — «O, to usuwaj się stąd precz — mówi grzyb — ja dopiero dziś żyję, a już taki urosłem, a za 100 lat całą tę okolicę zawalę. Ty stary tak długo stoisz i nic nowego nie wytworzyłeś, żyjesz zacofany, pod swemi konarami dajesz schronienie tylko ptakom, owadom i zwie-

rzętom. Precz stąd, ja dopiero pokażę, jak się to wzrasta i żyje, i czego dokonać można na świecie».

Dąb, wysłuchawszy tych szumnych i wyrokujących słów, z uśmiechem litości grzybowi odpowiedział: «czekaj kochanku do jutra, a zobaczymy, co będzie. Było już tu nie mało takich zuchów jak ty, co mi precz usunąć się kazali; zginęli biedaki, i ślad po nich nie pozostał, a ja silny stoję». I w rzeczy samej, na drugi dzień skoro Boże słońce przygrzało, w grzybie zalęgły się robaki i roztoczony rozsypał się i zginął, a silny dąb i dalej stał spokojnie.

Ta prosta przypowieść o dębie i grzybie, o jakże dobrze przedstawia tych wszystkich bezbożnych i naiwnych zuchów, którzy chłapnąwszy trochę wiedzy, jak ten grzyb powietrza, chcieliby świat zreformować i przekształcić, a Kościół i Wiara Zbawiciela im zawadzają, radziby więc je usunąć. Nagadają, napiszą i narobią głupstw, ludzi nagorszą, i wreszcie sami zginą; a Wiara Chrystusa i Jego Kościół, jak stały od wieków, tak stoją.

Jak ten grzyb wyrósł z odpadków próchnicy i pod cieniem dębu, inaczej nigdyby nie isniał; jak dąb dał mu życie i opiekę i za to grzyb swemu dobroczyńcy kazał się usuwać, tak Kościół Chrystusa ludzi wypielęgnował, oświecił, ogrzał boskiem ciepłem, troskliwie zachował i przekazał im nietylko naukę o Bogu, lecz i nauki świeckie. Kościół otworzył i utorował drogę do dalszego postępowania na drodze cywilizacyi, sztuk, wynalazków i odkryć.

I ciągle jak troskliwa matka czuwa, opiekuje się dziećmi i prowadzi za rękę. A dziecię krnąbrne, skoro wydrze się z opieki matki, zaraz idzie na manowce, błądzi i ginie — tego już wiele razy aż nadto dowiodły historye wieków. Pomimo to wszystko wiele nierozsądnych dzieci zajadle się rzuca na swą matkę, na Kościół. «Z nas wyszli — mówi Apostoł, — ale nie byli z nas; bo gdyby z nas byli, wżdyby z nami byli wytrwali».

Niejeden, wraz z pokarmem z piersi macierzyńskiej wyssał najpiękniejsze zasady chrześcijańskie, pod rodzinną strzechą miał wpojoną świętą Wiarę i wzniosłe zasady praojców; a potem nasłuchawszy się lub naczytawszy przewrotnych i bezbożnych zasad i nauk, nietylko osłabił w so-

bie wiarę, zobojętnił religię i zdusił sumienie, ale stawszy się wrogiem jej, wpaja w drugich swe przekonania, i zaraża niewinne i nieświadome umysły i serca.

Taki wysłannik szatana usiłuje przy każdej sposobności szerzyć ustnie lub przez rozdawanie przewrotnych pism i książek bałamucić drugich i obiecuje niestworzone rzeczy, a nawet stara się wmówić, że nauka jego zgodną jest z nauką Chrystusową.

Ale «nie każdemu duchowi wierzcie», lecz doświadczajcie czy z Boga jest, a choćby — jak mówi Apostoł Paweł święty, Anioł z nieba przepowiadał wam, ale inaczej jak naucza Kościół święty — to i Aniołowi takiemu nie wierzcie.

Tylko Kościołowi swojemu zostawił Chrystus Pan władzę nauczania i jemu powierzył skarb nauki swojej, kto tedy inaczej naucza jak Kościół, kto od Kościoła usiłuje odwieźć drugich, ten jest uwodzicielem, i takiego słuchać nie godzi się.

Pierwsi grabarze chrześcijańscy.

Olbrzymie podziemne miasto katakomb chrześcijańskich jest dziełem tak zwanych fossorów czyli grabarzy. Praca ich, która dziś jeszcze budzi podziw w całym świecie, płynęła z wiary, nadziei i miłości naszego świętego Kościoła.

Podczas gdy poganie składali zwłoki biedaków i niewolników we wspólnych grobach — Kościół objawiał zawsze wielki szacunek dla ciał nawet najbiedniejszych swych dzieci i dbał o godny ich pogrzeb.

Już w czasach apostolskich ustanawiano mężczyzn, którzy troszczyli się o wszystko, co miało związek z pogrzebem zmarłych. Nazywano ich fossores czyli grabarzami. Liczba ich rosła z rozwojem gminy chrześcijańskiej, stanowili oni własne bractwo, pozostające pod dozorem kapłanów i diakonów; uposażeni w błogosławieństwo kościelne pełnili swój ciężki a ważny zawód.

Ażeby poznać te urządzenia świętego Kościoła, przyłączmy się do dwóch ludzi, którzy pewnego dnia dążyli

drogą Appijską, a następnie zboczyli na polną drożynę i znikli w zaroślach — gdzie było wejście do katakomby świętego Kaliksta.

Odźwierny czyli ostiarius który czuwał u wejścia ażeby ktoś niepowołany nie wszedł do świętego miasta umarłych, podniósł się z siedzenia, poznał bowiem z radością w starszym przybyszu kapłana Fabianusa. Pozdrowiwszy go, wskazał na towarzysza i zapytał: — «Z kimże to przybywasz, — czcigodny Ojcze?»

Fabianus odparł uprzejmie: «Jest to Feliks, blizki mój krewniak, który przybył do Rzymu, ażeby poświęcić się służbie Kościoła. Chcę go zaprowadzić do naszych tryumfujących braci, ażeby na ich grobach nabrał odwagi do walki!»

— Bóg z wami! — rzekł odźwierny — wziął obok znajdującą się lampę glinianą, zapalił ją od swojej i wręczył kapłanowi.

Wązkimi następnie schodami, prowadzącymi do katakomby, dotarli oba do ciemnego korytarza.

— Co znaczy to stukanie? — zapytał młodzieniec, wytężając słuch.

— Są to nasi fossorowie przy robocie — odparł kapłan; — wykuwają oni w twardej skale chodnik po chodniku i wydrążają ściany dla chowania w nich ciał. Ten oddział fossorów stanowi właściwych twórców katakomb.

— Co to za żmudna praca! — zauważył Feliks, patrząc na surowe ściany chodnika, po którym kroczyli.

— Z pewnością, ciężka to praca! — potwierdził kapłan. — Spojrz tylko na wązkość tych chodników, na noc, wiecznie tu panującą, zauważ, co za mdłe, wilgotne powietrze nas owiewa, do zniesienia tego wszystkiego potrzeba zaiste wielkiej odwagi i wytrwałości!

— I wiary i miłości! — dodał młodzieniec.

— Tak, mój synu — mówił bogobojny kapłan, — wiara i miłość dodają tym ludziom otuchy, a nadzieja wiecznego życia podnosi ich dusze!

Wśród takiej rozmowy znaleźli się obaj w tem miejscu katakomby, gdzie właśnie dwaj grabarze pracowali przy pomocy ostrych kilofów. Byli oni ubrani w tunikę, to jest krótki surdut o krótkich rękawach. Na łańcuszku

wisiała na ścianie lampa i przyświecała poważnej pracy grabarzy.

Na widok nachodzących przybyszów wstrzymali grabarze pracę.

— Bóg z wami, pilni bracia — rzekł kapłan; — od wczoraj wydłużyliście znacznie ten chodnik!

— Oj, bo też i wielka jest potrzeba — odrzekł jeden z grabarzy, — opierając się na trzonie kilofa; — już prawie od lat 30-tu jestem fossorem, a nigdy jeszcze nie było tak naglącej roboty, jak w obecnem prześladowaniu. (Było to za cesarza Maksiminusa, od roku 235 do 238 po Chrystusie).

— Pomnij — mówił Fabianus, — żeśmy pod łagodnym cesarzem, Aleksandrze Sewerusie, mieli długie lata pokoju! (Cesarz ten panował od roku 222 do 235 po Chrystusie).

— Tem też więcej sroży się prześladowanie pod obecnym cesarzem — mówił drugi grabarz, — wczoraj pogrzebaliśmy w tej katakombie około 40 braci, którzy ponieśli śmierć męczeńską, a dziś czekamy na nowe ofiary pogańskiej dzikości!

— Nie starczy wam sił — odparł kapłan; — ale przyślę wam dziś jeszcze pomocników.

Cichem pozprowieniem pożegnali Fabianus i Feliks fossorów i poszli dalej. Szli wązkim korytarzem, w którego ścianach widać było świeże groby, napisy i znaki symboliczne.

— Któż to wykonał te napisy i znaki? — pytał Feliks.

— I o to także troszczą się nasi grabarze — objaśniał Fabianus; — skoro zwłoki zostaną złożone w ścianie, fossorowie wyżłabiają imię zmarłego, często jakiś krótki napis albo też jakiś dla nas chrześcijan pełen znaczenia znak.

— Widzę jednak — mówił młodzieniec, — że wiele napisów jest błędnie napisanych, a i rysunki są tu i ówdzie niezgrabne!

— Bo też — mówił, śmiejąc się, kapłan — nasi grabarze nie są żadnymi uczonymi; ich piórem jest koniec ki-

lofu, a bardzo często braknie im czasu na dłuższy namysł; wtedy to piszą pobieżnie imię lub rzeźbią znaki.

— Najczęściej widzę rysunek gałązki palmowej — zauważył młodzieniec.

— Jest ona doskonałym obrazem symbolicznym na grobie chrześcijanina; — przedstawia ona, że Chrystus odniósł zwycięstwo nad śmiercią, a Aniołowie wręczają mu palmę zwycięstwa i wiecznego pokoju!

Gdy tak pouczał kapłan swego młodocianego towarzysza — dał się opodal nich słychać szmer i kroki większej gromady ludzi, zbliżających się do nich.

— Ach, są to tragarze — mówił Fabianus; — niosą oni śmiertelne szczątki nowych męczenników, aby je w tem miejscu pogrzebać!

— Cóż to za ludzie? — zapytał Feliks.

— Należą oni także do bractwa fossorów — objaśniał Fabianus; — obowiązki ich nie są bynajmniej łatwe; znoszą oni w noszach do katakomb ciała świętych męczenników, które nasi współbracia wydarli z rąk katów albo wykupili.

Niebawem weszli obydwaj przybysze do wielkiej czworokątnej komory grobowej Wkrótce zjawili się tamże tragarze ze zwłokami. Nieśli oni po dwóch nosze, zasłonięte chustami; za długim szeregiem noszów postępowali liczni fossorowie z płonącemi lampami w rękach. Ponura komora zapełniła się światłem; nosze złożono na ziemi, usunięto zasłony, i ciała męczenników stały się widoczne. Z cichą czcią spoglądali obecni chrześcijanie na wpół zwęglone szczątki męczeńskie.

— «Oto są ci, którzy przybyli z wielkiego smutku, a suknie ich umyte są w krwi Baranka» — mówił kapłan słowami Pisma świętego — a głos jego drżał ze wzruszenia.

— Otrzymali oni koronę i palmę nieśmiertelności — rzekł inny z obecnych.

— Imię ich wiecznie żyć będzie — mówił Fabianus — lecz powiedzcie, kochani bracia, w jaki sposób nabyliście te święte szczątki?

— Patrz, czcigodny ojcze — mówił jeden z tragarzy, wskazując na nosze, w których leżały resztki nawpół

zwęglonego chłopca — to jest Rufus, szlachetne chłopię, które dwanaście zaledwie przeżyło wiosen. Zawieszono go nad ogniem i pieczono powoli!

— Biedne dziecię! — wołał kapłan z boleścią — jakże ono zmienione; wszystkie członki spalone; a oblicza jego nawet rozpoznać niepodobna!

— Wytrwał on aż do ostatniej chwili, mając na ustach imię Jezusa! — opowiadał inny fossor.

— Jakże otrzymałeś jego zwłoki? — pytał Fabianus.

— Dałem katowi pieniądze, a on pozostawił mi trupa, niezupełnie jeszcze zwęglonego — odpowiedział grabarz.

— A oto zwłoki Probusa — objaśniał inny fossor; — był on niewolnikiem u dozorcy cesarskiego pałacu; tenże przyłapał raz Probusa, jak klęczał i modlił się do niewidzialnego Boga nieba i ziemi.

Zawleczono go przed sąd, a że stał silnie przy wierze świętej, więc go położono na ziemi i lano nań stopiony ołów na piersi tak, że spalił się doszczętnie.

— Jakże strasznie musiał cierpieć! — mówił ze współczuciem kapłan.

— Zwłoki wyrzucono następnie na pastwisko, skąd je potajemnie wyniosłem — opowiadał dalej fossor.

— A czyje szczątki kryją się w tych oto trzecich noszach? — zapytał Fabianus.

— Szczątki delikatnej dziewicy — brzmiała odpowiedź.

— Ach, rozpoznaję w nich ślepą Klaudyę; a więc i tego biednego dziecka nie oszczędziła dzikość naszych prześladowców! — wołał Fabianus.

— Zniosła ona straszne męki — opowiadał fossor.— Gdy uparcie odmówiła czci pogańskim bożkom — wykręcano jej wszystkie po kolei członki ciała, a w końcu wciskano jej żarzące żelazo do bioder. Gdy wreszcie Klaudya skonała z boleści, zwłoki jej miano rzucić do dołu, przeznaczonego dla niewolników i zbrodniarzy; wtedy przecisnąłem się przez tłum widzów, ażeby święte relikwie uprowadzić!

Z niesłychanem zdziwieniem przysłuchiwał się Feliks opowiadaniu grabarzy.

Fossorowie zabrali się teraz do mycia zwłok z kurzu i krwi, skrapiali je balsamem, obwijali w kosztowne tkaniny i posypywali pachnącymi kwiatami i ziołami. O wszystkie te przybory starali się zamożniejsi chrześcijanie. Po tych przygotowaniach fossorowie złożyli zwłoki męczenników w grobach; kapłan Fabianus odmówił wspólnie z obecnymi kilka psalmów, a po ostatnich słowach: «Pax vobis», pokój z wami, grabarze wmurowali w otwory grobów marmurowe płyty.

Kapłan Fabianus oprowadzał swego młodego przyjaciela jeszcze po innych komorach cmentarnych i objaśniał mu obrazy, zdobiące niektóre z nich. Feliks był zachwycony tem, co słyszał i widział, i podziwiał wszechstronną działalność fossorów.

— Co za poważny, święty żywot prowadzą ci ludzie — wołał w zachwycie.

— Ale i pełen niebezpieczeństw! — dodał Fabianus; — a mimo to czują się oni szczęśliwi w swoim zawodzie i z ochotą spędzają całe życie w tych oto podziemnych przestrzeniach.

Po tych słowach Feliks ujął rękę kapłana i powiedział: — «Czcigodny ojcze, pozwól mi tak żyć, jak oni; przyjm mnie do tej bohaterskiej drużyny grabarzy!»

Fabianus spojrzał ze zdziwieniem na młodzieńca i rzekł: drgającym ze wzruszenia głosem: — «Nie dla ciebie to zawód, mój synu; Bóg przeznaczył ci inny, wyższy cel; zostań mu wierny — a otrzymasz także palmę męczeństwa z rąk Anioła!»

Wzruszeni, skierowali się obaj mężowie ku wyjściu z katakomb. Tu znowu spotkali owych fossorów, którzy wydrążyli nowy korytarz i od godziny znacznie posunęli się w pracy naprzód.

— Uzyskaliśmy miejsce dla wielu braci! — rzekł starszy grabarz.

— Także i dla mnie! — rzekł poważnie kapłan.

— Nie mów tak ojcze — odrzekł fossor. — Kościół potrzebuje twej mądrości w czasach ucisku i niedoli.

— Wola Boża! — rzekł Fabianus. — Gdy atoli przyjdzie mój dzień, to pochowajcie mnie, drodzy bracia, w tej oto katakombie i pozwólcie mi tutaj oczekiwać Zmartwychwstania!

Grabarze przyrzekli to ze łzami w oczach. I oto owo życzenie i jasnowidzenie kapłana spełniły się niebawem. W rok bowiem potem Fabianus został wybrany Biskupem rzymskim (240—253 po Chrystusie); czternaście lat rządził Kościołem Bożym, poczem poniósł śmieć męczeńską za cesarza Decyusza i stosownie do swego życzenia został pochowany w katakombie świętego Kalliksta.

Feliks zaś został również w roku 269 Biskupem Rzymu i głową świętego Kościoła. I on także zginął śmiercią męczeńską za cesarza Aureliana w roku 274; został pochowany również w katakombie świętego Kalliksta.

Nauki i czyny Jezusa Chrystusa.

(Ciąg dalszy).

Wskrzeszenie córki Jaira i uzdrowienie niewiasty.

Jair zaprasza Chrystusa. Po uzdrowieniu opętanego Pan Jezus wsiadł do łodzi ze swymi uczniami i popłynął na powrót. Po wyjściu na brzeg Jezus został otoczony przez rzeszę, pragnącą posłuchać Jego nauk i otrzymać uzdrowienie od różnych chorób. Między innymi podszedł do Niego przełożony bóżnicy, imieniem Jair, któremu zachorowała córka. Upadł do nóg Chrystusa i ze łzami prosił Go, aby raczył przyjść do jego domu i uzdrowił jedyną córkę. Chrystus zlitował się nad nieszczęściem ojca i skierował swe kroki ku jego domowi.

Uzdrowienie niewiasty. Mnóstwo ludzi towarzyszyło Jezusowi, a że każdy chciał być jak najbliżej Niego, więc otoczyli go ze wszystkich stron, potracając jeden drugiego, a nawet samego Jezusa Chrystusa. Pomiędzy ludem znajdowała się także niewiasta, która chorowała już od 12-tu lat, cały swój majątek stracila na lekarzy i nic jej nie pomagało. Słysząc zewsząd o nadzwyczajnych cudach Zbawiciela, uwierzyła w Niego i przyszła w nadziei otrzymania uzdrowienia.

Przecisnąwszy się przez tłum do Jezusa, a będąc mocno przekonaną, iż wyzdrowieje, jeżeli dotknie się przynajmniej szaty Zbawiciela, cicho podeszła do Jezusa, dotknęła się Go i natychmiast poczuła się uzdrowioną. Zaraz potem chciała odejść, dziękując Bogu za swe cudowne wyleczenie; ale Zbawiciel chciał pokazać ludowi przykład głębokiej wiary, jaką miała niewiasta, dlatego zatrzymał się i zapytał: kto się Go dotknął. Uczniowie odpowiedzieli, iż trudno dojść tego i nicby dziwnego nie było, gdyby Go nawet kto trącił, ponieważ tłumy ludu cisnęły się około Niego. Chrystus jednak powiedział, że ktoś się Go dotknął w celu otrzymania uzdrowienia, którego zresztą doznał, i że on pragnie wiedzieć, kto to jest. Wtedy niewiasta, widząc, że się z tem nie ukryje, padła do nóg Zbawiciela, i wobec ludu zgromadzonego opowiedziała o swej chorobie, oraz jak została uzdrowioną, dotykając się kraju szaty Chrystusa. Jezus pochwalił niewiastę za jej wiarę i rzekł łagodnie do niej: «Córko, wiara twoja ciebie uzdrowiła. Idź w pokoju».

Wskrzeszenie córki Jaira. Gdy się to działo, podszedł do Jaira sługa z wiadomością, iż córka jego już umarła, więc niech próżno nie trudzi Chrystusa. Ale Zbawiciel uspokoił stroskanego ojca, mówiąc: «Nie bój się; wierz tylko, a będzie zdrowa».

Wszedłszy do domu Jaira, Chrystus kazał wyjść wszystkim, którzy zebrali się, aby opłakiwać przedwczesny zgon dziewczęcia. Zostali tylko rodzice umarłej i trzej uczniowie: Piotr, Jakób i Jan, którzy zawsze towarzyszyli Jezusowi i widzieli wszystkie Jego cuda. Nastędnie Chrystus wziął umarłą za rękę i kazał jej wstać, a dziewczę natychmiast ożyło.

Wdzięczni rodzice opowiadali wszędzie po okolicy, o tak nadzwyczajnem wskrzeszeniu ich córki, czem przekonali bardzo wielu, iż Jezus Chrystus jest prawdziwym Synem Bozym, ponieważ żaden człowiek nie może czynić takich cudów.

Ścięcie świętego Jana Chrzciciela.

Nienawiść Herodyady ku Janowi. Rządca Galilei Herod prowadził bardzo zły żywot, czem dawał zgorsze-

nie ludowi. Jeszcze gorszą od Heroda była Herodyada, którą Herod nieprawnie pojął sobie za żonę. Święty Jan upominał ich, aby się poprawili, przez co wzbudził wielką ku sobie nienawiść, szczególnie Herodyady, która uporczywie prosiła Heroda i uzyskała, iż tenże rozkazał zamknąć świętego Jana w więzieniu, chociaż uważał go za męża świątobliwego. Lecz Herodyada nie zadowoliła się tem, że ten święty człowiek z jej przyczyny był uwięzionym, ale wszelkich starań dokładała, aby go pozbawić życia. Herod jednak nie miał odwagi tego uczynić, gdyż obawiał się ludu, który uważał Jana za wielkiego proroka i mógł z tego powodu strasznie się oburzyć. Herodyada więc rozmyślała nad tem, jakby podstępem zgładzić ze świata Jana, do czego niebawem nadarzyła się sprzyjająca okoliczność.

Prośba Salomei. Pewnego razu Herod zaprosił w rocznicę urodzin swoich wszystkich znakomitszych i bogatych obywateli swego państwa i wyprawił wielką ucztę. W czasie tej uczty wyszła do gości córka Herodyady Salomea, zaczęła tańczyć i tak się podobała królowi i wszystkim obecnym, że Herod rzekł do niej, iż może prosić go o wszystko, co się jej podoba, a prośba jej będzie spełnioną. Uradowana, pobiegła do matki poradzić się, o co ma króla prosić, — a mściwa Herodyada kazała jej prosić o przyniesienie na misie głowy Jana Chrzciciela. Córka Herodyady wróciła do króla i powtórzyła słowa matki.

Wyrok śmierci. Herod nie spodziewał się podobnego żądania i mocno się zasmucił, gdyż bardzo poważał Jana za jego świątobliwy żywot. Nie chcąc jednak łamać słowa, danego wobec tylu ludzi, choć ono go żadną miarą nie zobowiązywało do morderstwa, Herod wydał okrutny rozkaz ścięcia Jana Chrzciciela i oddania jego głowy na misie córce Herodyady. Kaci spełnili rozkaz króla i oddali głowę dziewczęciu, które odniosło je swej matce.

Uczniowie, dowiedziawszy się o śmierci ukochanego swego Nauczyciela, poszli pogrzebać ciało jego, a potem udali się do Jezusa Chrystusa i opowiedzieli Mu o zgonie Jana Chrzciciela.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NIEMOWA.

Było to przy końcu jedenastego stulecia. W klasztorze zbudowanym na górze nad uroczem jeziorem w Osiach niezmierne panowało zamieszanie.

Stał się cud.

Zapewne! Bo ów niemy człowiek, który przed dziewięciu laty zapukał do bramy klasztornej, i którego tu z litości przyjęto, umierał teraz, a w ostatniej godzinie życia odzyskał mowę! Gdy przybył tutaj, wyglądał jak rycerz, był piękny i w sile wieku, ale w klasztorze był sługą i pełnił najniższe posługi, a nikt nie ujrzał na twarzy jego wyrazu niechęci lub zniecierpliwienia.

Nazywano go ogólnie «niemową», nie przypuszczano bowiem ani na chwilę, aby on umiał mówić!

I teraz ów «niemowa» prosił słabym głosem, aby mu przywołano przeora, któremu się pragnął wyspowiadać. Mnich, który go pielęgnował, zadrżał z przerażenia na dźwięk głosu jego, i pobiegł czemprędzej do zgromadzonych w refektarzu towarzyszy, aby oznajmić o «cudzie», jaki się stał i aby wykonać życzenie umierającego.

Przeor udał się natychmiast do niego.

Niemowa otworzył oczy i spojrzał błagalnie na wchodzącego...

— Więc ty mówisz? — zawołał przeor. — Czy Bóg cud na tobie uczynił? Albo czy za ciężkie grzechy wziąłeś na siebie pokutę milczenia i byłeś całe dziewięć lat «niemową».

I zacny mnich uklęknął przy łożu niemowy i patrzył łagodnie na twarz jego. Domyślił on się teraz, że sługa klasztorny nie był tym, za kogo tutaj uchodził.

Umierający uśmiechnął się smutnie i rzekł:

— Zgadłeś ojcze! Ciężka wina sprowadziła mnie tu, grzech okropny przygniata moje serce, grzech tak okropny, że nie mam nadziei, aby mi Bóg przebaczył!

— Żałowałeś za ten grzech szczerze! Stałeś się spokojnym i uczciwym, — szepnął przeor serdecznie i ujął jego rękę.

— Tak żałowałem, żałowałem głęboko i gorzko i pełniłem najchętniej najniższe posługi w klasztorze. Uczyniłem się dobrowolnie więźniem i niewolnikiem waszym i męczyłem się sam umyślnie tak, jak tego żaden z was nie czynił. A jednak nie miałem ani jednej chwili, w której znalazłbym spokój — tak okropnym jest mój grzech.

I z cichym jękiem opuścił głowę na poduszki.

— Byłeś zawsze wzorem posłuszeństwa, cierpliwości, pobożności i pokory. Cokolwiekbądź miałeś do odpokutowania, odpokutowałeś to w owych dziewięciu latach.

Umierający westchnął ciężko i drżącą ręką wyjął z poza habitu cienki złoty łańcuszek, do którego przymocowana była dosyć duża kapsułka.

— Ojcze, — rzekł, pochylając się do przeora, — jesteście człowiekiem mądrym, znacie więc zapewne historyę Polski?

— Tak, znam i wiem, że kraj, na którego monarsze leży klątwa Papieża, jest nieszczęśliwym i pożałowania godnym. Słyszałem też, że król Bolesław tuła się zawsze jeszcze po świecie, i że obawiając się śmierci, szuka jej ciągle!

— Znajdzie ją wnet, — szepnął «niemowa».

Przeor zagrżał nagle.

— Ktoś ty jest? — zawołał.

— Jestem Bolesław, nieszczęśliwej Polski nieszczęśliwy król, który lud swój uciemiężył, który w strasznem zaślepieniu popełniał jedną zbrodnię po drugiej i który w końcu stał się mordercą.. mordercą kapłana-Biskupa. Papież wyklął mnie, i samotny, opuszczony od Boga i ludzi, tułałem się lata całe, aby znaleźć schronienie w waszym klasztorze!

Umierający mówił ochrypłym, urywanym głosem, a z oczu jego gorące spływały łzy! Na potwierdzenie swoich słów wyjął z kapsułki pierścień królewski i podał go przeorowi.

— Więc to ty... to twoje ręce, — wyjęknął przeor, — przelały krew świętego Biskupa Stanisława?

Nieszczęsny król milczał.

— Tak, — rzekł nareszcie, — ja zamordowałem! Widzisz zatem ojcze, że wina moja zbyt jest ciężką, aby

mi ją Bóg miał wybaczyć! Nie dosyć jeszcze pokutowałem.

Głęboka litość napełniła serce zacnego przeora.

— Nie — rzekł łagodnie — więcej pokutować nie mogłeś. Ty, król, byłeś tu sługą, to było okropniejszem dla ciebie, niż śmierć, której jako bohater, nie lękałeś się przecież! Miej nadzieję, Bóg jest dobrym bez granic!

— Ale ja ciągle widzę przed sobą oczy Stanisława! On tak okropnie patrzył na mnie w chwili, w której podniosłem miecz nad jego głową! Ja tych oczu pozbyć się nie mogę, one mnie prześladują we dnie i w nocy, we śnie i na jawie!

— To jest uwidzenie, Bóg ci przebacza, mój synu, ufaj mu tylko. I święty Stanisław przebaczył ci w godzinie śmierci!

Gdy przeor tak mówił, rozjaśnił ostatni promień zachodzącego słońca bladą twarz dawniejszego króla polskiego i jednocześnie odezwał się głos dzwonka w kaplicy. Bolesław uniósł się nieco i twarz jego przybrała wyraz głębokiego spokoju.

— Oczy jego... nie widzę ich... a więc Bóg... przebaczył mi!

Były to ostatnie jego słowa.

A przeor z braćmi długo jeszcze klęczał przy zwłokach «niemowy» i modlił się gorąco za duszę zmarłego.

ZDANIA I MYŚLI.

— Życie jest tylko podróżą, ale tak męczącą, że gdy ją człowiek ukończy, to mu brak oddechu.

Żona uczciwa ozdoba mężowi i najpewniejsza pod-
[pora domowi.
Na niej rząd wszystek; swego męża ona głowy korona.

Dobra matka.

Gdym był ośmioletnim chłopcem — tak opowiada o sobie pewien pobożny kapłan — powróciwszy raz ze szkoły do domu, powtarzałem bezmyślnie rozpustne słowo, które usłyszałem po drodze od mego szkolnego kolegi, a nie znałem znaczenia tego słowa.

Matka, która właśnie była zajęta w kuchni, popatrzyła na mnie z powagą i rzekła: «Moje dziecko, nie chcę, aby to słowo więcej w mojem życiu wyszło kiedykolwiek z twoich ust».

Domyślałem się, że jest w tem coś złego i zamilknąłem.

Po obiedzie rzekła matka do mnie: «Józiu, choć ze mną do drugiej izby!»

Zmieszałem się trochę, gdyż nie mogłem zrozumieć, coby to miało znaczyć, ale mimowolnie poszedłem. W drugiej izbie wisiał duży, zachwycająco piękny obraz Zbawiciela, przed którym matka moja często się modliła.

Przed ten krzyż poprowadziła mnie i rzekła miłym, ale poważnym głosem: »Moje dziecię, dzisiaj rano obraziłeś naszego Pana bezwstydnem słowem, które wyszło z twoich ust! Zapewne nie wiedziałeś, jakie ono szkaradne; dlatego tym razem nie ukarzę cię, ale pamiętaj sobie: Nie życzę sobie, abym więcej razy usłyszała od ciebie to lub inne złe słowo! A teraz uklęknij. Przeprosimy naszego Najmiłośniejszego Pana Jezusa za to brzydkie słowo, i zmówimy pięć Ojcze nasz dla uczczenia Jego świętych pięciu ran». Ukląkłem obok matki i razem odmówiliśmy pięć Ojcze nasz....

To wywarło na moje dziecięce serce większe wrażenie niż niejedno napomnienie lub kara, i już niejednej matce, która żaliła się przedemną, że nie wie, jak ma postępować z swojemi dziećmi, opowiedziałem to zdarzenie i dałem jej radę, aby dzieci swe zawsze prowadziła przed krzyż.

Matka moja, pobożna, prosta kobieta wiejska, była prawdziwą wychowawczynią i doczekała się tego błogosławieństwa, że wszystkie jej dzieci wyrosły na pociechę Bogu, na pożytek społeczeństwu.

Z podróży po Norwegii.

(Ciąg dalszy),

Jedną z najważniejszych przyczyn, tamujących postęp w rolnictwie, było w ówczesnej Norwegii rozdrobnienie ziemi, większość włościan miała grunta rozdrobnione i pomieszane w szachownicy, prócz tego znaczna część gruntów znajdowała się we władaniu wspólnem, a wiadomo, że nic tak nie więzi rolnika, jak wspólne władanie ziemią. Aby położyć kres niezliczonym niedogodnościm, płynącym z istnienia szachownicy i wspólnych posiadłości, Towarzystwo przedsięwzięło szereg starań u swojego rządu i oto już w roku 1821 sejm norweski uchwalił prawo podziału ziemi i lasów między pojedynczych gospodarzy, tak aby każda posiadłość tworzyła całość. W ten sposób włościanie norwescy zostali samodzielnymi gospodarzami i uzyskali tak potrzebną swobodę działania.

Zabiegi «Towarzystwa dla rozwoju Norwegii» nie były bezowocne. Włościanie chętnie garnęli się do postępu, to też siły wytwórcze kraju wzrastały szybko: z obliczeń urzędowych okazało się, że w ciągu lat trzydziestu (między rokiem 1835-ym a 1856-ym) zbiór pszenicy w całym kraju wzrósł siedmiokrotnie, a żyta, jęczmienia, kartofli — dwukrotnie. Zbiory mieszanek, owsa, grochu powiększyły się o połowę i t. d.

Nie poprzestało jednak Towarzystwo na samem jeno szerzeniu wśród włościan nawozów i nasion. Ludzie, ożywiający swą szlachetną działalnością Towarzystwo, a przez nie — kraj cały, rozumieli, iż nie dość jest zaszczepić wśród ludu, znajomość nowych, ulepszonych sposobów i narzędzi, gdyż i sposoby i narzędzia nie są stałe, lecz ulegają ciągłym zmianom i udoskonaleniom. Twórcy rozwoju Norwegii, pojmowali, że — chcąc uwolnić naród od ślepego jedynie naśladownictwa, uzdolnić go do samodzielnego rozwoju i postępu — trzeba tchnąć w naród to, co daje ludom zdolność i prawo do życia — trzeba upowszechnić w narodzie światło nauki, aby przy jej pomocy lud wiej-

ski sam mógł stanąć o własnych siłach, aby sam podjął pracę tworzenia postępu i poszukiwania dróg nowych, nie odkrytych.... I oto sama ludność wiejska poczęła przyczyniać się do powstawania nietylko szkół rolniczych, ale i chłopskiego uniwersytetu w Chrystyanii. Towarzystwo kierowało i oświecało, jak co robić trzeba, a lud drobnemi ofiarami, lub dobrowolnem opodatkowaniem siebie dokonał reszty.

Pomimo też licznych przeszkód, pomimo niezmiernie trudnych warunków przyrodzonych, gospodarka włościan norweskich stale posuwała się naprzód. Około połowy zeszłego stulecia, a więc po upływie 40-tu lat od czasu powstania «Towarzystwa dla rozwoju Norwegii», uprawa na przykład roślin pastewnych stała się powszechną; obszar pastwisk powiększył się znacznie przez zakładanie łąk sztucznych. Wędrowni nauczyciele rolnictwa przebiegali wzdłuż i wpoprzek kraj cały, nawołując do ulepszeń.

Wobec tego, że powiększenie obszarów rolnych przez uprawę skalistych nieużytków było bardzo kosztowne, zwrócono się w Norwegii do osuszania błot. W roku 1857-ym sejm norweski, wyszły z łona swego ludu, wyznaczył wielkie sumy pieniędzy na skanalizowanie i odwodnienie jezior, które po obniżeniu poziomu odsłoniły sporo ziem urodzajnych. Jednocześnie zaczęto zaprowadzać osuszanie gruntów zapomocą sączków (drenów).

Po kilkudziesięcioletniej pracy «Towarzystwo dla rozwoju Norwegii» może się poszczycić, że istotnie rozwinęło Norwegię, że, mianowicie, postawiło wysoko gospodarkę włościan tamtejszych. Bo przypatrzmyż się tylko takiemu zagrodnikowi norweskiemu, oto na przykład gospodarstwo p. Olafa Tystowsena (w południowej części Norwegii). Cały majątek obejmuje 38 morgów gruntu. Właściciel osady mieszka w piętrowym domku o 8-u pokojach. W przybudówce mieszczą się magazyny, serowarnia i mieszkania robotników. Przy domu ogród owocowy, rozległości 1 morgi, pełen jabłoni i porzeczek. Inwentarz składa się z dwunastu sztuk bydła (w tem 8 krów dojnych); koń jeden. Do sprzętu siana służy kosiarka i tylko na stromych zboczach koszą małemi kosami.

Rola gliniana, kamienista. Płodozmian 7-polowy, o następującej zmianie: 1) owies, 2) owies i okopowe, 3) jęczmień, przesiany roślinami pastewnemi, 4), 5) i 6) pastewne.

Gospodarstwo pana Tystowsena nie stanowi w Norwegii czegoś wyjątkowego. Przytoczyliśmy je jako przykład jedynie, jak wygląda jedna z zagród włościańskich w Norwegii — ziemi tak ubogiej i nieurodzajnej, że w porównaniu z nią skromna przyroda kraju naszego bogatą nazwać się może.

* * *

Dwa są źródła dobrobytu włościan norweskich: uprawa roli i... hodowla inwentarza.

Rolnictwo daje tu gospodarzowi przedewszystkiem owies, a inwentarz — to naprawdę podstawa dobrobytu Norwegów. Dla niego to zmienili całą swą gospodarkę na pastewną, dla niego nie szczędzili trudu, ażeby dojść do ras odpowiednich i mlecznych.

Lud wiejski z Norwegii musi być bardzo mądrym, bo poprawę swej gospodarki zaczął nie od przypinania kwiatków do zniszczonego domu, ale od fundamentu. Przedewszystkiem więc postanowił znieść szachownicę, ową prawdziwą kulę u nogi rolnika. Jakoż przedstawili włościanie sejmowi swemu szkody, jakie nla rolnictwa sprowadza porozrzucanie osady na wiele oddzielnych, daleko od siebie leżących kawałków gruntu, a sejm, nie zwlekając wcale, wydał odpowiednie prawo. Szachownica w całej Norwegii została zniesioną, i gospodarz mógł teraz myśleć o gruntownej naprawie swego warsztatu. W Danii w owym czasie postęp w gospodarce rolnej był już dość znaczny, tu więc, jako zresztą do narodu pokrewnego sobie, zwrócili się Norwegowie po naukę.

Stąd sprowadzali nauczycieli do szkół rolniczych, stąd brali wędrownych nauczycieli, stąd brali wzór umiejętnego hodowania inwentarza. A skoro się już raz wzięli do rzeczy, to nie zwlekając, bez tego: a może zrobić, a może nie? bez oglądania się na głupszych i oporniejszych w zaśniedziałości sąsiadów, których tu zresztą było bardzo mało, wzięli się, jak powiadają, na pazury i dalejże się wszyscy

dźwigać do góry, do czegoś lepszego, do postępu, chleb i byt lepszy dającego.

Dawniej siali tylko owiesek i owięsek, akurat jak my: żytko a żytko. Ale oto od roku 1835-go zaczynają uprawiać coraz więcej roślin. Już więc i ziemniaki stają się pospolitą rośliną, nie jak przedtem, na pokaz tylko, i groch, i jęczmień, i żyto, ba nawet pszenica, o której przedtem żaden gospodarz norweski nie zamarzył, stała się w tym kraju pospolitą. W roku 1835-ym było w całej Nowegii ogółem 1.600 korcy pszenicy, a w roku 1865-ym już z górą 12 tysięcy korcy. Ziemniaków w roku 1835-ym zebrano coś 2 miliony korcy, a w roku 1865-tym z górą 5 milionów korcy. Nawet plony owsa zwiększyły się prawie w dwójnasób: w roku 1835-ym zebrano go tu milion trzysta tysięcy korcy, a w roku 1865-ym już z górą dwa i ćwierć miliona korcy.

(Dokończenie nastąpi).

Jak został wynaleziony jedwab.

PODANIE CHIŃSKIE.

Pewnego dnia, a będzie temu lat cztery tysiące, wyszła piękna cesarzowa Se-Ling do swego wspaniałego ogrodu na przechadzkę. Wtem zobaczyła, że jakiś brzydki drapieżny ptak gonił maleńkiego białego motylka zwanego Ti-Sang. Dobra cesarzowa ocaliła biednego motylka i pielęgnowała, chodując go w swym pokoju.

Nareszcie jednego dnia motylek przestał poruszać skrzydełkami, leżał martwy i sztywny. Łzy popłynęły z pięknych oczu czułej cesarzowej, łzy gorące, gdyż maleńki Ti-Sang stał się jej ulubieńcem. Wzięła drobne jego ciałko, chcąc je pochować, aż tu spostrzegła, że wdzięczny Ti-Sang pozostawił po sobie upominek: obok nieżywego motylka leżało wiele maleńkich białych perełek! Szlachetna Se-Ling złożyła delikatne zwłoki swego ulubieńca do kosztownej szkatułki z herbacianego drzewa, pięknie wyrzeźbionej, obsypała je płatkami wonnych kwiatów, a na wierzchu umieściła owe znalezione przy nim perełki; przywiązała mały ten sarkofag na gałęzi morwowego drzewa,

które rosło przed jej oknami i chroniło jej komnatę od zbytniego gorąca w porze letniej.

Szkatułka ze zwłokami Ti-Sang wisiała stale na gałęzi morwowego drzewa, a piękna Se-Ling codziennie podczas rannej przechadzki zaglądała do niej i kilka chwil poświęcała wspomnieniom o swoim ulubieńcu. Nadeszła wiosna, i kiedy cesarzowa Se-Ling podeszła do otwartego okna, aby popatrzeć na wiszący zawsze na drzewie sarkofag — o cudo! perełki zginęły, a natomiast na najbliższych listkach morwowego drzewa poruszało się mnóstwo małych zielonych robaczków.

— To nikt inny tylko mój miły Ti-Sang zesłał te gąsienice, aby mi urozmaiciły moją samotność, i abym miała rozrywkę i uciechę, pielęgnując te małe stworzonka — zawołała cesarzowa.

Zabrała wszystkie gąsieniczki do swego pokoju, włożyła do pudełka, a za pożywienie dawała im liście morwowego drzewa, gdyż małym żarłokom ten rodzaj pokarmu najwięcej przypadł do gustu. Gąsienice rosły szybko; z dniem każdym były większe i grubsze — cztery razy zmieniały swe zwierzchnie pokrycie, a po dwudziestu czterech dniach, kiedy piękna cesarzowa zerwała ostatnie liście morwowe, aby je dać na spożycie swym nienasyconym nigdy wychowańcom, spostrzegła, że zwierzątka biegały niespokojne, a sukienka ich stała się biało-żółtawą, podobną zupełnie do koloru skrzydełek Ti-Sang'a. Teraz wiedziała cesarzowa dowodnie, że duch Ti-Sang'a ożywiał te stworzonka i z nią stale przebywał. Ucieszyła się niezmiernie tem szczęśliwem odkryciem; rozmyślała długo nad tem wszystkiem. tak, że zapomniała o obowiązku stawienia się przed obliczem swego małżonka Syna Nieba, z wesołem i ropromienionem szczęściem obliczem, jak surowy przepis etykiety dworskiej nakazywał.

Se Ling nietylko, że się spóźniła, ale przyszła na pokoje cesarskie głęboko zamyślona i tak roztargniona, że zapomniała wytłómaczyć się i uniewinnić przed swym dostojnym małżonkiem.

Cesarz Ti-Hoang-Szi, który wysoko cenił i miłował swą małżonkę, był bardzo zaniepokojony i obrażony tym jej postępkiem.

Nakazał swym zaufanym bacznie śledzić cesarzową i donieść mu, co jest przyczyną tej jej opieszałości w codziennych obowiązkach. W dwa dni później stanął przed obliczem Syna Nieba jeden z zaufanych i doniósł mu, że cesarzowa dzieli swą tajemnicę z drzewem morwowem, że słyszał, jak z niem rozmawiała i cuda mu opowiadała, a drzewo musi ją rozumieć i z miłości ku niej usychać, bo w czasie gdy wszystkie drzewa okryte są liśćmi, to, jakby martwe, nie ma ani jednego listka. Cesarz Ti-Hoang-Szi nie mógł tego zrozumieć. Niepodobieństwem przecież było, aby drzewo morwowe odebrało mu miłość jego małżonki, a jednak była jakaś przyczyna jej nagannego roztargnienia. Postanowił więc sam osobiście sprawdzić tajemnicze postępowanie swej żony. Pewnego poranku, kiedy Se-Ling była w swej komnacie, a na stole wrzała woda na herbatę do rannego posiłku — wszedł cesarz niespodziewanie i zastał swą żonę przy dziwnem zajęciu: zbierała właśnie podługowate, żółtawe jajeczka, które poprzyczepiane były do gałęzi morwowego drzewa, a była to nowa postać, jaką przybrały jej gąsienice.

Zapalił się więc wielkim gniewem.

A więc to dla tych marnych, nędznych stworzeń Se-Ling zapomina o swoich obowiązkach żony! I w uniesieniu porwał z jej rąk owe jajeczka i wrzucił w gotującą się wodę, a pięknej Se-Ling zabronił pokazywać się na oczy....

Kiedy zagniewany Syn Słońca oddalił się, smutna Se-Ling powyjmowała z wrzątku owe jajeczka — wysuszyła i chciała zobaczyć, co się w ich wnętrzu znajdowało. Ale cieniutka złota niteczka uczepiła się jej delikatnego paluszka i rozwijała stę, rozwijała bez końca z powierzchni jajeczka! Wtedy Sę-Ling ze wszystkich jajeczek porozwijała te pięknie błyszczące niteczki i w swem osamotnieniu miała zajęcie i rozrywkę, utkała z nich piękną złocisto-błyszczącą wstążkę. Opisała w szczerych wyrazach całą historyę swych niewinnych zajęć i przywiązania do Ti-Sanga i powstałych z niego robaczków — a opis ten, wraz z ową wspaniałą szarfą, posłała dostojnemu swemu mężowi na usprawiedliwienie.

Ti-Hoang-Szi, który już dawno żałował swego uniesienia i przykro mu było, że nie widział Se-Lingi, przyjął łaskawie to wytłómaczenie i szczere wyznanie swego błędu — a prześliczna szarfa, utkana z kokonów, okrywających ciałka ulubieńców pięknej jego żony — rozbroiła go zupełnie. Powrócił swej małżonce dawniejsze łaski i znaczenie, a w całem swem obszernem państwie ogłosić kazał, że obecnej cesarzowej dostojnej Se-Ling w nagrodę jej cnót i szlachetności — bogowie odkryli tajemnicę wyrobu wspaniałej, nowej tkaniny, którą zasłyną całe ogromne Chiny.

Od tej pory mogła Se-Ling swobodnie hodować i pielęgnować swych ulubieńców, a wyszło ich mnóstwo z jajeczek pozostałych na drzewie — a żeby nie zbrakło im pożywienia zasadzono całe gaje drzew morwowych. Za cesarzową poszedł cały naród, a było to cztery tysiące lat temu. *K. M.*

DOM RODZINNY.

Rodzinny dom, ach to jest raj,
Milszego niema w świecie;
Choć wzdłuż i w szerz przebiegniesz kraj,
Najlepiej w domu przecie.

Tu życia czar zakwita ci,
U łona twojej matki,
Żywota cudne tęskne dni,
U progu drogiej chatki.

Tu w kwiecie dni poznajesz świat,
I Stwórcę twego, Boga,
Tu w serca ci cnót wszelkich kwiat,
Zaszczepia matka droga.

Więc póki będziesz tylko żył
Na Bożym wielkim świecie,
Pamiętaj, abyś zawsze czcił,
Swój dom rodzinny, dziecię.

WODA STUDZIENNA.

Częstą przyczyną rozmaitych chorób zwierzęcych i ludzkich bywa woda używana do picia; dlatego każdy gospodarz powinien zwracać jak najtroskliwszą uwagę na studnię, z której czerpie wodę do użytku w swojem gospodarstwie.

Woda może być szkodliwą z dwojakich przyczyn. Albo zawiera w rozpuszczeniu szkodliwe dla zdrowia zwierząt i ludzi składniki, albo we wodzie znajdują się zarodki chorób. Zkądże dostają się do studni tak szkodliwe składniki? Odpowiedź na to pytanie znajdziemy, gdy zastanowimy się nad pochodzeniem wody studziennej.

Wiadomo, że woda deszczowa lub śniegowa spływa w części po powierzchni ziemi do rowów i rzek, w części zaś wsiąka w grunt. Ta ostatnia część wody nie pozostaje w głębi ziemi w spokoju, lecz krąży ustawicznie w szczelinach i większych rozpadlinach, znajdujących się we wnętrzu ziemi, aż po długich niekiedy wędrówkach wypływa w odpowiedniem miejscu jako woda źródlana na powierzchnię ziemi. Gdzie naturalnego źródła niema, tam można wodę sztucznie na wierzch wydobyć, jeżeli żyła wody podziemnej znajduje się w niewielkiej głębokości. W tych warunkach jest urządzenie studni łatwem i niekosztownem. I w studni nie pozostaje woda w spokoju, lecz znajduje się w ciągłym ruchu, bo pomimo ciągłego jej czerpania nie ubywa jej wcale, gdyż świeże zapasy dopływają wciąż do studni, z dalekich nawet stron. Odwrotnie ubywa wody w czasie długotrwałej posuchy i tem prędzej, im mniejszy obszar ziemi służy do zaopatrywania studni w wodę.

Skoro woda takie wędrówki w głębi ziemi odbywa, nic dziwnego, że tak często zawiera szkodliwe jakieś składniki, bo stykając się już na powierzchni ziemi z różnemi nieczystościami, a następnie krążąc w jej wnętrzu po tylu pokładach — zabiera ze sobą najrozmaitsze cząstki i wprowadza je do studni.

Bardzo często zawiera woda wapno w rozpuszczeniu, często żelazo a niekiedy i inne metale, jeżeli przepływa przez pokłady ich rud. Żelazo daje się poznać po żelazistym

smaku wody, oraz po błyszczących i mieniących się warstewkach, ukazujących się na powierzchni wody; nie mniej i po tem, że na dnie studni znajduje się osad rdzawej barwy. W płytkiej studni można ten rdzawy osad łatwo dostrzedz, w studni głębokiej trzeba zaczerpnąć do samego spodu, by go zobaczyć. Jeżeli na powierzchni wody studziennej ukazuje się taka błyszcząca powłoka, ale rdzawego osadu na spodzie studni niema, to ta mieniąca się powłoka wody nie jest żelazem, lecz pochodzi od smołowatych składników, które się tworzą z gnijących roślin, jak n. p. na torfach. Jeżeli woda z takich gruntów podziemnemi szczelinami dopływa do studni, to na powierzchni wody studziennej będą takie błyszczące warstewki, a będą one w części smołą, w części zaś żelazem, bo w torfach znajduje się zwykle dużo żelaza. W obu razach jest woda szkodliwą. Woda żelazista wywołuje często choroby żołądkowe u zwierząt i ludzi, a owe domieszki, dochodzące z roślin gnijących, są także częstą przyczyną różnych chorób u ludzi i zwierząt.

Ta mieniąca się w świetle powłoka może mieć jeszcze inną przyczynę, bo może pochodzić z gnojówki, dopływającej do studni szczelinami podziemnemi. Czy tak rzeczywiście jest, można osądzić po niemiłym zapachu wody. *Taka woda jest najszkodliwsza* dla zdrowia ludzi i zwierząt.

Jak wapno, żelazo i inne domieszki, tak i zarodki chorób dostają się do wody studziennej. Są zaś o tyle niebezpieczniejsze, że wywołują różne ciężkie choroby zaraźliwe u ludzi i zwierząt, a nie dadzą się dostrzedz gołem okiem, nie zmieniają też ani smaku wody, ani jej barwy.

Od dopływu do studni składników mineralnych i roślinnych, pochodzących najczęściej z torfowisk, niekiedy także z sąsiednich fabryk, można się czasem uchronić większem pogłębieniem studni, zazwyczaj jednak bywa wybranie nowej studni zupełnie w innem miejscu jedynie skuteczne. *Studnia znajdująca się w pobliżu gnojowni lub wychodków ludzkich*, a okazująca powyższe podejrzane oznaki — *powinna być najrychlej zasypana*, a w jej miejsce należy ową studnię w innem miejscu wykopać.

Od dopływu zarodków chorób trudno się czasami uchronić, gdyż one mogą pochodzić z poblizkich wychodków ludzkich. W takiem jednak sąsiedztwie studnia nie powinna się nigdy znajdować. Jeżeli zaś w czasie zarazy panującej w okolicy zarodki chorób przypływają z wodą, krążącą w ziemi, i do zdrowej zresztą studni wchodzą — w takim razie nie pozostaje nic innego, jak tylko pić wodę po poprzedniem jej doskonałem przegotowaniu (warzeniu).

Z GOSPODARSTWA.

Zgrzane konie

nie powinny zaraz po wprowadzeniu do stajni dostawać wody do picia, ponieważ nagłe ochłodzenie organizmu mogłoby być bardzo niebezpiecznem i bywały wypadki, że koń zgrzany po wypiciu zimnej wody nabawiał się zapalenia płuc, choroby żołądkowej lub innej choroby— i czasem zdychał. A zatem pod tym względem trzeba być ostrożnym, uważać na to, aby wskutek nieostrożnego obchodzenia się z tak wartościowem zwierzęciem nie ponieść dotkliwej straty.

Zaleca się koniowi dać do przegryzienia wprzód cokolwiek siana lub zielenizny, a dopiero skoro ostygnie— napoić go. Jakkolwiek pożytecznem jest, aby stajnie dobrze przewietrzano, ponieważ dostarczanie świeżego powietrza należy do prawidłowego, zdrowotnego utrzymania inwentarza, tak z drugiej strony przestrzedz należy przed wytwarzaniem przeciągu, który właśnie gdy zwierzę jest zgrzanem również może być niebezpiecznym, wskutek nagłego ostudzenia ciała.

Brak chęci do jadła u świń.

Zdarza się często, że świnia nie bierze się chętnie do jadła. Wsadzi ryj do koryta po same uszy, przeszuka za smaczniejszymi kąskami, a wreszcie większą część karmy z koryta wywali. Powodem tego nie bywa choroba, lecz najczęściej podawanie jednej i tej samej karmy, bez zmiany przez czas dłuższy, albo oparzenie pyska lub żołądka

karmą zbyt gorącą, albo wreszcie, i to zdarza się najczęściej, że karma jest skisła, że koryto lub cebrzyk, nie oczyszczone z niedojadków z poprzedniego dnia, zakwaszają jadło świeże.

Poznawszy przyczyny, łatwo będzie zaradzić stratom, mogącym z tego powodu wyniknąć. A więc dbać należy, by wszelkie naczynia, z których trzoda jada, były czyste i nie zakwaszone. W tym celu trzeba je co kilka dni dobrze szczotką wyszorować i wrzącą wodą wyparzyć, co dnia zaś niedojadki starannie usuwać, a gdy się woń kisielizny z koryt wydobywa, wybielić je wapnem, a świniom dać nieco mleka z dodatkiem sody lub soli glauberskiej. Dobrze będzie również dać im do koryta garść węgli drzewnych.

Wybornym środkiem osuszania gruntów

nizkich, bagnistych, jest zalesienie ich jesionem. Pierwsze próby w tej mierze przedsięwzięli Amerykanie ze znakomitym skutkiem; a w ślady ich wstąpili Niemcy. Jesion potrzebuje wiele wilgoci, więc wysysa ją silnie z gruntu, a sam rozwija się nader szybko i daje drzewo bardzo trwałe i pożyteczne. Sposób sadzenia łatwy, młode jesionki stawia się na powierzchni gruntu, a następnie korzenie okłada się namułem, który ma utworzyć dość szeroki kopiec dokoła drzewka.

Jedno drzewko od drugiego sadzi się w odległości półtora metra, przyczem baczyć należy, aby wszystkie drzewka były proste i silne. Maj i czerwiec są najlepszą porą do sadzenia. Naprzód zasadza się miejsca nieco wynioślejsze, a niższe dopiero wtedy, gdy tamte ściągną z nich nieco wody. W ten sposób okolice podmokłe, do niczego nie przydatne i niezdrowe można w krótkim czasie osuszyć.

Różne rady pożyteczne.

Krztusiec czyli koklusz trapi dzieci przeważnie w porze jesiennej i wiosennej. Jest to choroba w wysokim stopniu zaraźliwa. Przenosi się wprost z osoby na osobę. Przedmioty używane przez dotkniętych kokluszem rzadko

tylko roznoszą zarazki kokluszu. O tych zarazkach nauka lekarska nic pewnego powiedzieć nie może, jak tylko, że ich siedliskiem są plwociny chorych.

Krztusiec rozpoczyna się zawsze od kataru nosa i kaszlu. Dopiero po tygodniu lub dwu zmienia się choroba: kaszel występuje w napadach, których może być nawet 60 na dzień. Czasem napadom kaszlu towarzyszą wymioty. Jest to choroba bardzo przykra dla dzieci, męczy je, wyniszcza, a niekiedy, może sprowadzić groźne następstwa, gdy się do kokluszu jakaś inna choroba przypląta. Poczem napady ustają, a dzieci przychodzą do zdrowia.

W razie gdy dziecko zapadnie na koklusz, nie potrzeba, aby leżało w łóżku. Owszem powinno jak najwięcej pozostawać na świeżem powietrzu, byle nie było zbyt zimno na dworze. Przestrzegać, aby chore dziecko nie stykało się z dziećmi zdrowemi sąsiadów, gdyż je zarazi. Natomiast odłączenie chorego dziecka od reszty dzieci na nic się prawie nie przyda, gdyż one już są krztuścem zarażone.

Jeżeli dziecko wymiotuje wśród napadów kaszlu, dobrze jest podać mu jedzenie pożywne zaraz po napadzie, aby jak najdłużej pokarm pozostawał w żołądku, zanim przyjdzie napad następny.

Plwociny chorego dziecka posypać karbolem, jak również chustki, służące do obcierania ust dziecka, należy prać w wodzie z dodaniem karbolu..

Niezawodny środek przeciw influenzy. Pewien pasażer okrętowy w podróży do Szwecyi zapadł na influencę. Kapitan okrętu kazał choremu podać jedno surowe jaje rozbite z sokiem jednej cytryny, zużyć tę miksturkę na raz i położyć się w łóżko. Chory spał całą noc jak zabity, po obudzeniu się otrzymał taką samą porcyę; na południe wstał zdrów jak ryba, a influenca zginęła bezpowrotnie. Środek ten praktykuje się już od wielu lat w Szwecyi z dobrym skutkiem.

Przeciw myszom i szczurom. Dziewanna, roślina wysoka, żółto kwitnąca, będąca dla ludzi lekarstwem, jest trucizną dla myszy i szczurów. Trzeba wziąć dziewannę z kwiatem, liśćmi i korzeniami i kłaść w izbie, śpichle-

rzu, w stodole i w ogóle wszędzie, gdzie się znajdują te uprzykrzone zwierzęta — te wnet się wyniosą i nie wrócą więcej.

Niesienie się kur zimową porą. Kto sobie życzy, aby mu się kury niosły zimową porą, powinien zaopatrzyć je w zieloną pąszę, ponieważ doświadczenie uczy, że jest to nieodzownie potrzebnem do wyrobu jajka. Gdzie w domu jedzą jarzyny, tam można rzucać kurom zielone odpadki od takowych, najlepiej jednakże jest zaopatrzyć się jesienią w kapustę lichszego gatunku, której główkę zawiesza się w kurniku w ten sposób, by mogły je dzióbać według swego upodobania. Można zresztą poprostu rzucać pojedyncze listki.

FIGLE I ŻARTY.

Zrozumiała. *Pani:* Pamiętaj Marysiu, żebyś nic nie robiła bez mego pozwolenia.

Marysia w godzinę później: Proszę pani, psy porwały pieczeń, czy mam ją odebrać?

Dobry żebrak. Przechodzień: Cóż to, idziecie na żebraczkę, a dźwigacie kij taki duży, niby zbój?

Żebrak: E, to tylko na wszelki wypadek, gdyby kto nie chciał dać grosza.

W sądzie. Sędzia (surowym głosem(: Nie mówiłem wam ostatnim razem, że was więcej tu nie chcę widzieć?

Złodziej (potulnie): Tak jest, prześwietny sędzio; ja też to samo powiedzałem żandarmowi, ale on nie chciał w to wierzyć.

Na okręcie. Okręt z wychodźcami płynie z Hamburga do Ameryki. Trzeciego dnia podróży zerwała się straszna burza. Aron Rosenbluth znajdował się właśnie na pokładzie i krzyczał w niebogłosy o ratunek. Podbiegł do niego Mendel Flegmann i woła:

— Aron, bój sze Boga — czego ty tak krzyczysz?

— Jak ja ni mam krziczyć! czy nie widzisz, jak okręt sze topi....

— Nu to co? — mówi flegmatycznie Mendel — albo to twój okręt!...

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

Z drukarni Związkowej w Krakowie, od zarządem A. Szyjewskiego.